

**Jan Kocot z Bytomia**

**I miejsce za prozę pt. *Iskra romantyzmu* – nagroda 300 zł**

### **Iskra romantyzmu**

Muzyka zaraz po milczeniu najlepiej wyraża to, co niewyraźalne słowami. Jest miłością, tęsknotą, namiętnością, skrzydłami wyobraźni, lotem umysłu... Jest iskrą, która płonie... płonie romantyzmem. Muzyka... moja miłość. Moja wielka miłość...

Owe uczucie przybrało postać skrzypiec. Dokładnie pamiętam ten dzień. Obchodziłem ósme urodziny. Mieszkaliśmy wtedy na przedmieściach Krakowa. W latach mojej młodości, to jest przed wojną, miasto zachwycało swoim pięknem. Przybrało wtedy kupiecki i inteligentnie oblicze. Owa „kupieckość” miasta przejawiała się tłumami osób, odwiedzających targi przed Sukiennicami. Między straganami, które aż ugięły się od krakowskich precli, pachnących szynek, skórzanych bucików i jedwabnych szali, spacerowały damy w kapeluszach ze strusimi piórami i dżentelmeni w wysokich cylindrach.

Moje dziecięce oczy chłonęły ten świat, zatapiając się w jego pięknie. W trzydziestym szóstym, w mieście odbyły się pierwsze „Dni Krakowa”, zorganizowane jako wielodniowy festyn. Fajerwerki zapierały dech w piersiach. Jednak to nie one sprawiły, że poczułem jakby błyskawica przeszływało moje ciało. Oto na jednym z kramików zobaczyłem je. Wymalowane złotą farbą, nowiutkie, zgrabne skrzypce... Jeszcze nigdy w życiu nie pragnąłem niczego bardziej. Marzyłem, by ich dotknąć, by zmienić je w muzykę...

- Dzisiaj są twoje urodziny, Antku – usłyszałem matczyzny głos. - Proszę, wybierz sobie urodzinowy prezent. Moje oczy błyszczały, kiedy pewnym ruchem ręki wskazywałem na złote skrzypce.

I tak zaczęła się moja przygoda z muzyką. Gdy chwytałem je do rąk, każda moja myśl płonęła iskrą romantyzmu... Wygrywałem całą gamę dźwięków pod czujnym okiem nauczyciela muzyki, który udzielał mi lekcji. Każdą wolną chwilę oddawałem moim skrzypcom. To właśnie w rytm granych melodii, zaczął rozsypywać się mój beztroski świat. W Krakowie coraz częściej zaczęło dochodzić do antysemitycznych incydentów.

Byłem dzieckiem, jednak już wtedy zdawałem sobie sprawę, że nasze pochodzenie może przynieść nam zgubę. Setki razy pytałem siebie, czym sobie na to zasłużyliśmy. Przecież moi rodzice zawsze byli uprzejmi dla każdego. Może to kara za to, że ściągałam za klasówce z rachunków? W trzydziestym dziewiątym i czterdziestym roku nie wolno nam było chodzić do

kin, zabronione stało się korzystanie z pływalni, biblioteki i parków miejskich. Muzyka wygrywana przeze mnie stawała się coraz bardziej smutna, cicha, mroczna... Czy nadal me myśli mogły wskrzeszać w moim instrumencie iskry romantyzmu? Pewnego dnia mamusia oznajmiła smutnym głosem:

- Antku, nie wolno ci już grać.

Odtąd moje życie stało się milczące, szare, samotne... Chociaż skrzypce pozostawały nieme, wyobrażałem sobie, że muskam smyczkiem ich złoty materiał. W głowie wciąż rozbrzmiewała mi muzyka. Zapisywałem nuty, w nadziei, iż uda mi się zagrać kiedyś prawdziwy koncert.

Pewnego dnia przenieśliśmy nasze życia, marzenia, nadzieje i myśli do maleńkiego pokoiku na strychu. Tatusz powiedział, że wujek Bogdan przechowa nas na strychu swojego domu aż do końca wojny.

- Antku – zwrócił się do mnie. – Tutaj obowiązują pewne reguły. Nie wolno nam rozmawiać głośno, śpiewać, kichać, kaszleć. Pomyśl, że bawimy się w „niewidzialnych”. Pamiętasz, ile razy prosiłeś mnie, żebym się z tobą w to pobawił? Teraz zabawa będzie trwać całymi dniami – próbował zażartować, mnie jednak wcale nie było do śmiechu.

- Dobrze, ale mam warunek – odparłem wtedy patrząc mu prosto w oczy. – Zabieram moje złote skrzypce. Bez nich nigdzie się nie ruszę. To one sprawiają, że ma myśl płonie iskrą romantyzmu.

- Dobrze – odparł tatusz. – Ale one też muszą milczeć. To część naszej zabawy w „niewidzialnych”.

I tak zaczęliśmy nowe życie. Milczące, szare, pełne głodu i to nie tylko za pożywieniem. Byliśmy głodni kolorów natury, odgłosów śpiewających ptaków, zasłyszanych na ulicy rozmów. Jedyne dźwięki stanowiło tykanie zegara. Przysłuchiwałem się jego beznamietnemu głosowi „tyk, tyk, tyk, tyk...” Tykał głośno, jakby chciał roześmiać nam się w twarz, jakby pragnął pokazać, ile czasu nam odebrano.

Aż pewnego dnia rozległo się walenie do drzwi. Tamte chwile wspominam jak przesuujące się powoli kadry: brutalny kopniak otwierający liche drzwi naszej skrytki na strychu, esesman wyprowadzający nas z niej, my z rękami do góry wychodzimy na ulicę, ja trzymający kurczowo moje ukochane skrzypce... Od roku nie czułem zapachu powietrza. Niebo płakało rzęsimym deszczem razem z nami. Nagle zobaczyłem wycelowany we mnie pistolet. Przełknąłem głośno ślinę. Zaraz wszystko się skończy. Jednak usłyszałam cyniczny głos:

- Szkoda mi na was kuli. Zapraszam was w ostatnią podróż.

Wepchnięto nas do przepełnionej ludźmi ciężarówki.

- Jesteśmy z łapanek – usłyszałem tylko, przyciskając do siebie mocno moje złote skrzypce. Mój największy skarb. Skarb, który potrafił sprawić, że me myśli płonęły iskrą romantyzmu.

Dojechalśmy do stacji. Chowałem skrzypce za siebie, w nadziei, iż uda mi się je zatrzymać. W końcu nadjechał pociąg. Taki bydlęcy, nie taki przeznaczony do przewozu ludzi. A tam niewyobrażalny smród, ciasnota i upał. Ludzie jęczeli i konali z pragnienia. Mama dostała ataku hysterii. Staliśmy przy drzwiach, a ona zaczęła walić głową w drzwi. Chyba zupełnie oszalała. Ale ojciec pozostawał opanowany. Łokciami, przebił się przez tłum i zaczął coś majstrować przy drewnianej, pociągowej podłodze.

- Jest, udało się – szepnął sam do siebie, wycierając pot z czoła.

Po chwili schylił się do mnie i spojrzał mi głęboko w oczy:

- Antku, jesteś dużym i dzielnym chłopcem. Posłuchaj mnie uważnie. Kiedy pociąg stanie, przecisnę cię przez otwór w podłodze. Pamiętaj, żebyś nie płakał i był cicho. Kiedy wydostaniesz się na zewnątrz, masz leżeć skulony, dopóki, dopóty pociąg nie odjedzie.

Patrzyłem na niego szeroko otwartymi oczyma. Początkowo nie rozumiałem, co do mnie mówi. Dopiero po chwili łyzy zaczęły mi kapać ciurkiem po policzku.

- Czy mogę zabrać ze sobą skrzypce? – dopiero teraz byłem w stanie wydobyć z siebie głos. Ojciec skinął twierdząco głową, z trudem połykając łyzy.

Nagle pociąg stanął. Ostrożnie wszedłem w wykonaną ojcowskimi rękoma dziurę. Trzymałem kurczowo skrzypce. Nagle jakaś ostra śruba przecięła mi nogę. Zawyłem z bólu. Polała się krew. Zastygłem w bezruchu i skuliłem się, kiedy moje stopy dotknęły ziemi. Pociąg ruszył, a ja czekałem w napięciu, aż odjedzie.

Potem, nie oglądając się za siebie pobiegłem jak szalony w stronę lasu. Pociąg odjechał, zostawiając za sobą wspomnienie mojego dawnego życia. Nastął wieczór, niebo przykryło się dywanem gwiazd. Zapach leśnego skrzypu pieścił moje nozdrza. Zostałem sam. Samiuteńki jak palec. Zmęczony wędrówką przycupnąłem przy wielkiej sośnie. Położyłem głowę na mięciutkim mchu i zasnąłem. Śnił mi się przedwojenny Kraków w całej okazałości. Oto gram na skrzypcach na krakowskim rynku. Ludzie biją mi brawa, cieszą się owacjami. Potem matula gładzi mnie po kędzierzawej głowie. Jest mi tak dobrze. Tak błogo...

- Hände hoch! – ze snu wybudził mnie brutalnie głos.

Otworzyłem oczy, widząc przed sobą żołnierza Wehrmachtu. Stał przede mną dumny i wyprostowany.

- Jakżeś ty się uchował, żydowski śmieciu? – syknął przez zęby żołnierz. - Niemiecki kodeks żołnierski zakłada, że żaden Żyd nie może zabierać nam tlenu. Rozumiesz?

Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, jak on może mówić o kodeksie żołnierskim. Tymczasem niemiecki żołnierz zaśmiał się kpiąco:

- Pożegnaj się z życiem. Zginiesz w leśnej scenerii, pośród szumu drzew – rzucił kpiąco, a ja skuliłem się ze strachu w kłębek.

Z przerażeniem patrzyłem, jak ładuje pistolet i wymierza go prosto w moje serce. Przełknąłem głośno ślinę, nogi miałem jak z waty, naraz mignęło mi przed oczyma całe moje krótkie życie.

- Poczekaj – usłyszałem mój zachrypły głos. - Poczekaj – powtórzyłem już pewniej. – Mam ostatnią prośbę.

- Hę? – żołnierz popatrzył na mnie z ukosa.

- Chcę zagrać. Ostatni raz. Proszę – rzekłem błagalnie ledwie słyszalnym głosem i dodałem:

- Niech myśl zapłonie iskrą romantyzmu...

Niemiec zaśmiał się lekko, jednak skinął ręką na znak aprobaty. Dopiero teraz prostując się dumnie, chwyciłem moje skrzypce. Pogłodziłem je z czułością. Najpierw nieśmiało, potem coraz bardziej zapalczywie zacząłem grać.

Grałem „Requiem” Mozarta. Zamknęłam oczy, a moje ręce grały każdy kadr z mojego życia: spacer na krakowskim rynku, gwar i zamieszanie przed sukiennicami, koncerty moich złotych skrzypiec, delikatny dotyk matczynych dłoni, śmiech ojca. A potem wojna, ciemność, nicość... Teraz grałem szybko, energicznie, nerwowo...Dźwięki przerażały swoją dobitnością, każdy z nich oddawał ból i tragedię, jaka dotknęła moją rodzinę. A potem cisza, skrzypce zamilkły. Milczał cały świat wokół mnie.

Otworzyłem oczy. Niemiecki żołnierz zastygł bez ruchu. Po jego policzkach płynęły łzy. Nie jedna, a cały ich strumień. Milczał przez dłuższą chwilę, a potem odezwał się cicho:

- Odejdź chłopcze, niech już się ta wojna skończy. Niech się to wszystko w końcu skończy...

Patrzyłem na niego z szeroko otwartymi oczyma i nie dowierzałem w to, co właśnie usłyszałem.

- Nie rozumiesz, co mówi do ciebie niemiecki oficer? Wynoś się! Raus! – krzyknął tym razem tak głośno, że nie oglądając się za siebie, pobiegłem ile sił w nogach.

Zdałem sobie sprawę, że ocalałem nie tylko ja. Ocalał też on. I muzyka...muzyka, która jest w stanie zawsze wskrzesić iskrę romantyzmu.